Tom VI. Nr. 17.

11. Czerwca 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Św. Onufry,

pustelnik.

Było to w trzysta kilkadziesiąt lat po narodzeniu Chrystusa Pana, gdy w jednym z klasztorów w Egipcie żył mnich imieniem *Pafnucy*. Jako mąż wielce pobożny i nauki chciwy, postanowił mnich ów pewnego razu pójść w głębokie pustynie i szukać tam świętych pustelników. Jak pomyślał, tak uczynił; cicho w bożą porę puścił się, mając nieco chleba i wody ze sobą, i szedł przez dni wiele, a różne spotykał rzeczy po drodze. Znalazł w jaskini człowieka, niby na modlitwie klęczącego, który za dotknięciem w proch się rozsypał; innego znowu widział między dzikiemi zwierzęty, bez żadnej odzieży. Aż dnia siedmnastego od wyjścia swojego z klasztoru, ujrzał mnich zdaleka męża strasznego, nagiego, który był cały włosami głowy i brody jako śnieg białemi okryty, a wpół przepasany zielonemi drzew gałęziami. Ujrzawszy to Pafnucy zląkł się i ukrył w gęstwinie, a ów stary pustelnik, starością, posty i upałem utrudzony, legł w cieniu pod niedaleką skałą i zawołał:

— Mężu boży, nie bój się, zstąp do mnie, bom i ja człowiek grzeszny, a służę tu dla miłości Bożej i zbawienia swego.

Słysząc to Pafnucjusz zdumiał się, a zbliżywszy się pozdrowił starca i prosił go, by mu dla miłości bożej wszystek swój żywot rozpowiedział. Więc pustelnik przystał na to i tak jął opowiadać:

— Imię moje *Onufry*, lat mam spełna siedmdziesiąt, a od sześćdziesięciu mieszkam w tej pustyni, korzonkami i dzikim owocem się żywiąc. Ojciec mój był królem w *Persji*, opływał w przepych i dostatki, i tylko go to martwiło, iż długi czas żadnego nie miał potomstwa. Aż oto po wielu latach zdarzyło się, iż ja się miałem narodzić, a wtedy przyszedł niejaki pielgrzym do mojego ojca, i szatańskim sposobem obudził w nim wątpliwość, ażali narodzić się mające dziecko jego jest dziecięciem. „Królu, mówi on, płód ten królowa nie od ciebie ma, lecz od jednego z sług twoich.“ Uwierzył temu ojciec, a zapłonąwszy gniewem chciał mnie dać ogniom pożreć, lecz Bóg litościwy wybawił mię od złego, a wtedy dostałem się do pewnego klasztoru na wychowanie i naukę. Tu wzrastałem w siły i w miłość Bożą, a najmilej było mi klękać przed ołtarzem Matki Boskiej w klasztorze, i modlić się z podniesionemi na obraz Jej oczyma. I trafiało się nieraz, że gdy mi szafarz klasztorny dał chleba, tom szedł przed ołtarz Matki Boskiej, i tam patrząc się na małe dzieciątko Jezus u Jej łona, podawałem mu chleba mówiąc: „Tyś maleńki jako i ja, mnie szafarz daje chleba a tobie nie, weź więc odemnie i jedz“, bo zdawało mi się; że ono dzieciątko boże także jeść potrzebuje. Spostrzegłszy to raz najstarszy zakonu, nakazał szafarzowi nie dać mi chleba, lecz owszem gdy przyjdę prosić oń, aby mi rzekł: „Proś sobie u tego dziecięcia, które zawsze karmisz.“ Uczynił tak szafarz, lecz ja nie płakałem anim był smutny choć mi dopiero siedm lat było, ale poszedłem przed ołtarz i tam klęknąwszy modliłem się, a Chrystus nakarmił moją duszę, dawszy zapomnieć na ciało.

Tak wzrastając między pobożnymi mnichami, słuchałem ich pobożnych nauk i opowiadań, a zasłyszawszy raz o *Eljaszu* proroku, jako żył na puszczy i o św. Janie Chrzcicielu, zapy-

tałem ich: „Czyż ci, co na puszczy żyją są od was większymi?“ „Zaiste synu, odpowiedzieli, bo w większych od nas niewygodach i utrapieniu żyjąc, zarówno Boga miłują i służą mu.“ Tedy ja widząc to zapłonąłem wielką żądzą pustelniczego życia, a wstawszy jednej nocy, wziąłem sobie chleba na drogę i wyszedłem na pustynię. I szedłem górami i szedłem lasami, a tak mi się zdało, jakoby mię Anioł boży wiódł za rękę, bo nie trwożyłem się niczem wierząc w dobry koniec mej drogi. Jakoż przyszedłem niebawem do jednej jaskini w skale wykutej, a przystąpiwszy do wchodu zawołałem, błogosławieństwa prosząc. I wyszedł na to staruszek, poważny w postaci i twarzy łaski pełnej, a gdym mu upadł do nóg podniósł mię, pocałował i rzekł: „Tyś odtąd brat mój, który masz mi dopomódz pustelniczego żywota“. Więc wszedłem ze staruszkiem do jaskini i byłem z nim wespół przez dni kilkanaście, do życia pustelniczego nawykając. A po dniach kilkunastu rzekł mi, iż wolą Boga jest abym samotne na pustelni pędził życie, i rzekłszy to wyprowadził mię i wiódł przez lasy i zarośla, i przywiódł do jaskini, koło której drzewo palmowe rosło i zdrój czysty płynął. Tu został ze mną staruszek przez całe dni trzydzieści, ucząc mię jeszcze pustelniczego życia, a wreszcie odszedł, i potem tylko raz w rok mię odwiedzał. Lecz po nie wielu latach, gdy przyszedł mię znowu nawiedzić, pośród słów pozdrowienia upadł na ziemię i Bogu ducha oddał, co ja widząc sam od żalu wielkiego upadłem, a opłakawszy zgon nauczyciela, ciało jego święte tuż przy jaskini mojej pogrzebałem.

Westchnął przy tych słowach Onufry święty i tak mówił dalej:

— Cierpiałem ja potem wiele pokus, przeciwności, niemocy i tęschnoty za światem, a nieraz myślałem zgoła że mi już skonać przyjdzie, bo nie mało też głodu, pragnienia upału, i zimna znosiłem. Lecz Bóg widząc cierpienie moje dał mi cierpliwość; a gdy mnie odzież opadła, okrył bujnym włosem, jak oto oglądasz. I rozkazał Bóg palmie ażeby mi owoc rodziła, i innym ziołom ażeby rosły na moje pożywienie. Więc podziwiałem Boga i chwaliłem Go w modlitwach moich, i takiego życia pustelniczego długie aż do dzisiaj przepędziłem lata.

Skończył na tem Onufry święty, i wstał i prowadził Pafnucjusza do głębi jaskini swojej, i tam dzielił się z nim wespół leśnem pożywieniem, a potem mówili modlitwy i śpiewali psalmy.

Na drugi dzień rano spostrzegł mnich pobożny iż twarz świętego męża wielce była zmienioną; pytał więc o przyczynę tego, a Onufry odrzekł:

— Nie bój się Pafnucjuszu! Bóg sprowadził cię tu, abyś ciału memu dał pogrzeb, gdyż dziś skończę służbę moją.

A mnich pobożny odezwał się na to:

— Ojcze święty, radbym tu na tem miejscu pozostał po wyjściu twojem z ciała.

— Żadną miarą to być nie może — odparł Święty — bo cię Bóg tylko na to posłał abyś ciało moje pogrzebł, a potem szedł między ludzi i mówiąc im o pustelnikach świętych, nauczał ich i dobrze im czynił.

A po tych słowach padł Onufry święty na kolana, a wzniosłszy oczy do nieba płakał i modlił się gorąco, i w modłach ducha swego panu Bogu oddał. Rzęsiste łzy ronił Pafnucjusz nad ciałem świętego pustelnika, a potem wstał i pogrzebł je, i szedł między ludzi i opowiadał co widział i słyszał i czynił im dobrze.

Pieśń do Najświętszej Panny,

ułożona przez Wojciecha Wosia, kowala z Grodziska, na nutę jak: „O której berło“ lub: „Serdeczna Matko“.

Najświętsza Panno, opiekunko nasza,
Dawno Cię Polska za matkę ogłasza,
Boś ją broniła przez tak liczne wieki —
A my i teraz prosim Twej opieki.

Do Ciebie Matko zanosimy jęki:
Wyrwij nas, wyrwij z nieprzyjaciół ręki,
Połącz nas węzłem braterskiej miłości,
Niech święta zgoda między nami gości.

Nadziejo nasza i oczekiwanie,
Nieba i ziemi jedyne kochanie,
Miasto ucieczki i nowy Syonie,
Tyś nam pociechą jest w polskiej koronie.

Ciebie dziedziczną swą Królową znamy,
Tobą się święta Panno zasłaniamy,
Ty nam Ojczyznę bronisz w każdym razie
Na Jasnej górze, w cudownym obrazie.

Serdecznie prosim, byś z Twojej opieki
Nie wypuszczała nas sierot na wieki;
Przyjmij Maryjo serc naszych westchnienia,
Zmiłuj się, zmiłuj, skróć nasze cierpienia.

Przestawaj na swojem!

Było to jakoś w same żniwa. Słonko dawno już zaszło, szary zmrok zapadał, a gwiazdy wschodziły na niebie, aby ciepłej letniej nocy przyświecać. Cicho było na świecie: ani wiatr nie szumiał, ani mucha nie brzęczała, jeno co się czasem słowik odezwał, albo ów śliczny śpiew wieczorny:

Wszystkie nasze dzienne sprawy
Przyjm litośnie Boże prawy,
A gdy będziem zasypiali,
Niech Cię nawet sen nasz chwali!

Gasły już światła na kominach, bo jużci każdy po całodziennej pracy potrzebuje słodkiego odpoczynku, tylko człowiek zły i pijak wywraca ten od Boga ustanowiony porządek, bo zbrodnia i zdrada, bojąc się nawet dnia białego i słonka jasnego, lubi się zawsze czarną płachtą nocy okrywać. Wszystko wreszcie pogasło, jeno w dwóch miejscach pewnej wioski biło jeszcze światło przez okna.

W starej, nędznej, pochylonej chałupinie paliło się pare szczepek w piecu, gdzie się dogotowywały ziemniaki na wieczerzę. Na przypiecku siedziała średnich lat kobiecina, koło niej kręciło się dwoje małych dziatek, czekając niecierpliwie

na posiłek, bo przez cały dzień nie jadły gotowanej strawy, a na środku stał ich ojciec, chłop czerstwy i wesoły, i naprawiał popsutą kosę. Wnet się dogotowały ziemniaki, kobieta odlała je i postawiła na ławie, bez omasty tylko ze solą zaczęli je wszyscy bardzo smacznie zajadać.

— Hej, hej, mocny Boże — odezwie się kobiecina — biednemu człowiekowi to już i nie żyć na świecie. Maciek zrobił, Maciek zjadł: ot tyle się pracuje, ile tylko sił starczy człowiekowi, a przecież zaledwie się z tego wyżywić można.

— Ej, nie wyrzekaj kobieto, nie wyrzekaj — odrzeknie jej mąż na to — toć przecie praca nie jest jeszcze nieszczęściem człowieka. Udzielił nam pan Bóg sił i zdrowia, to też i pracy bać się nie potrzeba.

— Ale my pracujemy aż za nadto, a przecież nic nie mamy. I ja i ty chodzimy w dzień na zarobek, wstajemy o świcie, legamy późno, aby tych parę zagonów własnego pola dopilnować, a przecież wszystko to, co zapracujemy, mignie się jeszcze w jesieni, a na zimę nie można się nawet ściągnąć na ciepły przyodziewek. A co my naszym dzieciom zostawimy po śmierci, kiedy już i chałupa walić się poczyna?

— A bodajże cię, bodaj kobieto — odrzeknie mąż na to — co też tobie przystąpiło dzisiaj do głowy. Tyle by tam kłopotów jeszcze było o nasze dzieciska. Jeżeli im zostawimy bojaźń Bożą, zdrowe ręce, zamiłowanie do pracy i poczciwe imię: to już im żadnego innego majątku nie potrzeba.

I tak długo jeszcze dowodził mąż kobiecinie, aby na swój stan nie była markotna, i ona dała się niby przekonać, ale gdy już złożyła głowę do snu, pomyślała sobie przecież: Hej, hej, żebym to ja choć przez jaki miesiąc mogła sobie tak w dostatkach opływać, ot jak naprzykład ta moja sąsiadka!

Trzeba zaś wiedzieć, że nieopodal chaty biednego wyrobnika znajdowała się porządna zagroda okrzyczanego na pięć mil w około bogacza. Całe to obejście z nowemi budynkami, z wysokiem ogrodzeniem, wyglądało raczej nieprzymierzając na mały folwarek, niżeli na mieszkanie wieśniacze.

W białej izbie, oświetlonej jasnym kagankiem, krzątała się

młoda i ładna kobieta, oczekując męża, który jeszcze nie wrócił z jarmarku, i od czasu do czasu tak prawi do siebie:

— Mój miły Boże! czemu ja taka młoda, a taka nieszczęśliwa. I co mi po mojej młodości i co po urodzie, kiedy lata moje płyną w smutku i tęsknocie.

I tutaj zaczęła zdejmować ze siebie bogate korale, i srebrne pierścionki, i cienkie chusty, a rzucając je niedbale do skrzyni, rzecze dalej:

— I co mi po tych wszystkich ozdobach, kiedy nie mam się komu podobać i przymilić; i co mi po tych wszystkich bogactwach i dostatkach, kiedy nie mam ani jednego dziecka, któremu by się to wszystko po śmierci dostało. Już czwarte nadeszły żniwa, i od czterech lat stoją zapełnione stodoły i brogi, i czteroletnie ziarno pleśnieje w śpichlerzu, a mnie przez cztery lata wciąż nudno i smutno na sercu. A przecież w domu u rodziców byłam taka wesoła i młoda, i jak wszyscy mówili urodziwa, i miałam niepoślednie wiano, i mogłam pójść za jakiego młodego, chwackiego, choćby tam i niebardzo zasobnego parobczaka. Ale rodzice złakomili się na wielkie bogactwo, i wydali mnie za starego, chorowitego niedołęgę, któryby bezpiecznie mógł być moim dziadem. Co mi potem, że nie potrzebuję pracować, że mam wszystkiego podostatkiem, co tylko dusza zapragnie: kiedy mnie to wszystko nie cieszy, kiedy się krew młoda i gorąca gwałtownie burzy we mnie, kiedy ja usycham bez miłości. Kiedy nie mogę być matką i pieścić własne dzieciątko! Mnie się już i gospodarstwa nie chce dozierać, dlatego też i czeladź kradnie, i najemnicy robią jak im się podoba, i kto nie chce, to udrze człowieka.

Gdy jeszcze tak na swój los wyrzekała młoda kobieta, zaturkotało coś na podwórzu, i po chwili wszedł do izby jej mąż, stare, garbate i brzydkie chłopisko, który powróciwszy z jarmarku przywiózł swej żonie przeróżne piękne podarki. Ale ona ledwie spojrzała na nie, a podawszy mężowi wieczerzę, położyła się na miękkiej pościeli, i pomyślała sobie jeszcze przed zaśnięciem:—Żebym ja to choć raz była tak szczęśliwa, jak ta moja sąsiadka, i młodemu sercu gwoli mogła się nacieszyć młodym mężem i dziećmi; tobym za to i całe życie mojego szczęścia

oddała. Hej, hej! mocny Boże! choć miesiąc na miejscu sąsiadki!

Wkrótce i tu zgasło światło, i wszyscy spoczywali, tylko Anioł snu przechadzał się po nocy, a usłyszawszy narzekania tych dwóch kobiet, pomyślał tak sobie: Dobra mi się tutaj nadarza sposobność tym dwom kobietom wyrządzić przysługę. Zdaje się im, że każda z nich mogłaby być szczęśliwą, gdyby była na miejscu drugiej. Owóż trzeba je pomieniać ze sobą, a tak obie będą może szczęśliwe. I jak sobie ten Anioł pomyślał, tak też i zrobił. Wziął duszę biednej zarobnicy i wlał ją w ciało młodej bogaczki, a duszę bogaczki przeniósł do ciała zarobnicy, i tak pomieniał te obie kobiety, chociaż ani mężowie ani inni ludzie tej zamiany poznać nie mogli.

Noc minęła prędko; równo ze świtaniem zaczęło się wszystko budzić, a na chwałę Bożą rozlegał się znowu po wsi ów drugi śpiew prześliczny:

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze,
Tobie śpiewa żywioł wszelki,
Bądź pochwalon Boże wielki.

Równo ze świtem przebudziła się w chacie bogacza na miękkiej pościeli biedna wyrobnica. I ogląda się zdumiona po izbie, i maca po pościeli i przeciera oczy, i nie wie, czy to sen, czy na jawie, że ona się w chacie bogacza znajduje. Chce wstawać i ubierać się, a obaczywszy przed sobą śliczne cienkie chusty, jeszcze bardziej się zdumiała, a wtem przychodzi cicho, na palcach, stary bogacz do izby, a myśląc że to jego żona już się przebudziła, pyta się o sen, o zdrowie, i gniewa się że ona tak wcześnie zrywa się z pościeli. Bogacz wnet wyszedł, a biedna wyrobnica wstawszy, ubrawszy się i zmówiwszy pacierz, gdy się oglądnęła po izbie, gdy zobaczyła w skrzyni przeróżne bogate rzeczy, drogie korale, srebrne pierścionki, prześliczne kolorowe spodnice, fartuszki i chustki, i czepce jedwabne: rada nierada musiała uwierzyć, że to pan Bóg ją wysłuchał, i przeniósł ją na miejsce bogaczki, jak to ona sobie wczoraj legając spać tego życzyła.

Pierwszy dzień minął naszej wyrobnicy bardzo wesoło,

tak, iż wieczór udając się na spoczynek, ucałowała nawet swego nowego koślawego i brzydkiego męża kilka razy. Na drugi dzień, a była to właśnie niedziela, młodą naszą wyrobnicę, bogato wystrojoną, poprowadził stary mąż do kościoła na służbę Bożą. I zasiedli oboje w swojej ławce przed samym ołtarzem, a ksiądz pierwszych ich obkadził, i najpierwej dał im pocałować świętą Ewanielję. Ale gdy już wychodzili z kościoła, to jakoś nikt z ludzi ani słowa do nich nie przemówił, i wszyscy podzieliwszy się na gromadki spoglądali na nich z pod oka, i rozmaicie pomiędzy sobą rozmawiali.

I mówili jedni: — Szkoda tej kobiety, że taka młoda i udatna, a z tym starym niedołęgą cały świat ma zawiązany.

I szeptali drudzy: — A jacy to pyszni i hardzi oboje, z nikim nie żyją, od wszystkich stronią, na te swoje bogactwa za nadto wiele dufając.

I szemrali inni: — A jacy to skąpi i nieużyci oboje, a osobliwie ona. Biedny nie zaratowałby się u nich, żeby tam zaraz i ginął z głodu, dlatego też i nie widać u nich tej wesołości, jaka się nawet u mniej zamożnych, ale uczynnych ludzi znajduje. Dlatego też daremnie pojął sobie ten bogacz już piątą żonę, bo żadna nie obdarzyła go dziecięciem, któremu by po śmierci całą spuściznę przekazali, a tak cały ich majątek szczeżnie i skapie bez pożytku.

Usłyszawszy takie przymówki młoda wyrobnica zafrasowała się wielce, i zaraz ubyło jej trochę wesołości.

Wieczorem, gdy wszędzie po kilku gospodarzy i gospodyń schodziło się na pogadankę, siedział bogacz ze swoją żoną samotnie w izbie, i zabawiali się ze sobą. I każde pocałowanie bogacza wydawało się młodej kobiecie, jak by jej kto kawałek lodu do twarzy przyłożył, i każde uściśnienie starego niedołęgi, jakby ją wiatr chłodny owiał. Nadszedł dzień trzeci, bogacz wyszedł na pole i do gospodarstwa, a młoda kobieta została się sama, ale strzeżona dobrze na wszystkie strony, bo stary mąż zazdrośny o młodą i składną żonę i sam dobrze jej dozierał, i czeladzi kazał mieć na nią baczne oko. Z nudoty weszła młoda bogaczka do komory i aż gębę otworzyła z wielkiego podziwu, gdy zobaczyła kilka połciów słoniny, cały rząd sagankow z masłem i serem, pełne

dzierze mąki, całe kosze jaj, parę garnków miodu samej patoki, a w kącie nawet kilkanaście flaszek słodkiej wódki i mnóstwo innych przeróżnych rzeczy. Widziała, że ma dosyć wszystkiego, ale niczego ani się tknęła, bo zdawało się jej, że wszystkiego jej jakoś brakuje. I wróciwszy nazad do izby, spojrzała przez okno, ale jej wzrok sięgał tylko tak daleko, jak daleko rozciągało się obejście bogacza, i zobaczyła pełne stodoły, i kilkadziesiąt sztuk bydła powracającego z paszy, a więcej nic, bo wysokie ogrodzenie zasłaniało wszystko przed jej oczyma.

I tak z każdym dniem stawała się coraz smutniejsza młoda kobieta, a po dwóch tygodniach gdy usiadła wieczór na miękkiej pościeli, to aż zapłakała z wielkiego żalu, i tak rzecze do siebie:

— Nielepiej-że to było mi w domu moim własnym, chociaż ubogim. Prawda, żem się musiała w dzień napracować, ale wieczorem, gdym z mężem i z dziećmi usiadła w chacie lub pod chatą, i zasilała się lichą strawą ale głodem i pracą zaprawioną: toć przecie wszyscy byliśmy tacy weseli, jakby nam nic a nic nie brakowało. I człowiek żył z ludźmi, i mógł się u niejednego poradzić, przed tym i owym użalić, i zaraz było lżej człowiekowi, jakby kamień młyński spadł ze serca.

I tu upadła młoda kobieta na kolana przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, i modliła się gorąco do tej wielkiej pani, aby ją nazad wróciła do biednej zagrody, przyrzekając że już będzie zawsze swym stanem zadowolona. W końcu rozebrawszy się, długo jeszcze przewracała się niespokojnie po miękkiej pościeli, aż wreszcie usnęła.

Zobaczmyż teraz, co się działo w chacie biednego wyrobnika.

Dawno już słońce było zeszło, kiedy po tej dziwnej nocnej zamianie młoda bogaczka wychrapywała spokojnie długie godziny. Mąż zadziwiony, że żona jego dłużej spi niż zwykle, przystąpił do niej, a pocałowawszy ją w czoło, zawoła:

— Ej, wstawaj no kochanie, wstawaj, bo nim pójdziemy na żniwo, trzebaby sobie urżnąć jeszcze z parę własnych snopków, gdyż i tak wysypuje się już nam pszeniczka z kłosa; niewiele tam tego jest, a i to marnieje do reszty.

Obudziła się na te słowa młoda bogaczka, a spojrzawszy po nędznej chałupie, zaczęła przecierać oczy, i nie wiedziała na razie, czy ją tuman zaślepił, czy co takiego, aż dopiero, gdy sobie przypomniała wieczorne swe życzenie; poznała, że ją pan Bóg wysłuchał, i że się znajduje w chałupie biednego wyrobnika. Wstała więc coprędzej, a ubrawszy się w liche łachmany, poszła z nowym swym mężem na pole dożynać pszenicę i oboje zwijali się jak mogli, śpiewając sobie ową piękną pieśń przy pracy:

Boże z Twoich rąk żyjemy,
Choć naszemi pracujemy,
Ty nam dajesz owoc złoty,
My Ci dajem trud i poty.

W dwóch godzinach wyżęli pszeniczkę, i młoda bogaczka aż się zadziwiła, ujrzawszy że tego wszystkiego było tylko dwa małe mendelki, które tęgi chłop za dwoma razami mógł zanieść na plecach do domu. Wyżąwszy swoje zboże, wzięło sobie każde z nich kawałek suchego podpałka za pazuchę, i wyrobnik poszedł z kosą, a nasza bogaczka z sierpem na żniwo. Pociła się ona tam nie lada, ale czuła się dosyć szczęśliwą, bo w takiej kupie ludzi jeden coś zaśpiewał, drugi coś śmiesznego powiedział, a każdy młody parobczak coś zażartował, co wszystko podobało się młodej kobiecie, która dotąd żyła w samotności, z daleka od ludzi. Wieczorem, gdy powróciła do domu, a usiadłszy na przyzbie pod chatą z mężem i dziećmi, zaczęła zajadać zieloną kapustę bez omasty, to zdawało się jej, że takiej dobrej strawy jeszcze w życiu swojem nie kosztowała; a gdy się oba dzieciaki zaczęły jej wieszać na szyi, gdy się nowy mąż do niej przysunął, a ona głowę swoją oparła na jego ramieniu: to się aż krew raźniej poruszała w żyłach młodej kobiety, której serce dotąd nie zaznało miłości i słodyczy rodzinnego pożycia, i przeto więdło i usychało jak kwiatek podczas gorącego lata bez rosy i deszczu. I tak dumając aż zdrzemała się bogaczka, a gdy ją mąż pocałowaniem przebudził, i gdy oboje pomodliwszy się udali się na spoczynek, to młoda kobieta nie mogąc tak prędko usnąć na twardej pościeli, pomyślała sobie: Owóż takiego ja chciałam szczęścia

domowego, cichego, szczerego i takiego męża, co to jest młody, zdrów, trzeźwy, pracowity i pobożny.

Tak jeszcze przez dwa dni była młoda bogaczka dosyć szczęśliwa, bo chociaż ciężka praca, do której nie była przyzwyczajona, nie mało ją męczyła, toć przecie samo wspomnienie wieczornego odpoczynku dodawało jej sił nowych, bo i w rzeczy samej po każdem pocałowaniu młodego męża, aż dreszcz jakiś przyjemny całe jej ciało przejmował, a po każdem uściśnieniu zdawało się jej, że mogła by i cały tydzień bez odpoczynku pracować.

Ba! ale po tygodniu zaczęły ją od znużeń boleć krzyże, a i z mężem nie mogła się długo pieścić, bo to powróciwszy z zarobku, trzeba było koło chałupy coś zrobić, męża, siebie i dzieci oprać i obłatać, a nawet licha strawa, przyrządzana na prędce wnet się jej przejadła.

Więc przypomniała sobie młoda kobieta swe pożycie w domu bogacza, gdzie to nie miała żadnych kłopotów, gdzie były gotowe i łyżka i miska; a teraz musiała chwytać sama za zimne i za gorące, bo nie było się kim innym wyręczyć. I zaledwie wyszły dwa tygodnie od tej zamiany, a już zdawało się młodej bogaczce, żeby dłużej nie wytrzymała na miejscu biednej wyrobnicy. I teraz dopiero poznała, jak to ona w domu bogacza nie umiała szanować darów bożych, jak to nie chciała biednemu wierzyć w jego nędzę, jaką to była nieuczynną, a przecież mogła była tyle świadczyć dobrego, bo mąż chociaż stary, ale kochał ją nad życie, i niczego byłby dla niej nie skąpił. I uczyniła sobie postanowienie, że już nigdy nie będzie na swój stan narzekać, że z dostatków swoich będzie drugich wspierać, i cały swój sposób życia odmieni, a upadłszy na kolana, pierwszy raz pomodliła się może szczerze i gorąco, i prosiła Pana Boga, aby ją nazad na jej dawne miejsce powrócił. Poczem ze spokojniejszem sercem położyła się na twardej pościeli, i prędzej niż zwykle usnęła.

Noc ciemna zapadła, i Anioł snu zadowolniony, że chociaż żadnej kobiety nie uszczęśliwił, toć przecie dobrą dał im naukę, przeniósł napowrót każdą z nich na swoje miejsce. Z jakąż uciechą powitały kobiety ranek, gdy się napowrót ujrzały

w przeszłym swoim stanie! Szczęśliwemi uczuły się znowu, a jaki skutek ta nauka odniosła, posłuchajmy.

Owóż biedna wyrobnica odmieniła się o tyle, że odtąd z podwójną ochotą pracowała, drugim żadnych dostatków nie zazdrościła, na swojem chętnie bez szemrania przestawając. Ale naszej bogaczki po tych dwóch tygodniach ciężkiej szkoły niktby nawet nie poznał. I tak wieczorem, gdy stary mąż zasiadł z nią do wieczerzy, odezwie się ona do niego:

— Kochasz ty mnie prawdziwie?

— Albożeś ty się o tem nie mogła jeszcze przekonać? — odrzekł jej mąż i przysunął się bliżej do niej, i aż oczy zaiskrzyły się staremu od wielkiej miłości.

— No, to zrobisz mi to, o co cię prosić będę?

— Czegobym ja dla ciebie nie zrobił!... Przecież mamy dzięki Bogu wszystkiego podostatkiem, a nie ma nas tylko dwoje; a po mojej śmierci to wszystko przejdzie na ciebie, bo mnie i tak jeszcze dziś jutro na tym świecie! Może chcesz, abym ci kupił nowe korale, zaraz jutro pojadę do miasta.

— Oj, nie chcę ja żadnego nowego ubioru — odrzeknie młoda żona — bo jeżeli mi to zrobisz, o co cię prosić będę, to i wszystkich ozdób moich mogę się pozbyć. — I wtem pocałowała starego męża nawet w rękę, przez co się stary okropnie rozczulił, i tak mówiła dalej:

— Owóż powiedz sam mój kochany, co to za szczęście nasze, kiedy żyjemy tak sami, kiedy ludzie stronią od nas i nazywają nas nieużytymi bogaczami. Przyznajmyż się sami, czy nie jest źle, jeżeli my z naszych dostatków żadnego nie zrobimy użytku, ale tak składamy je bez celu, i bez myśli, nie wiedzieć dla czego, i dla kogo. A przecież moglibyśmy nie jednemu w biedzie dopomódz, przezco zrobilibyśmy sobie przyjaciół, którzy by nas za życia szanowali i kochali, a po śmierci błogosławili. Oto przyszła mi dobra myśl do głowy, ażeby wziąść jakie biedne dziecko za swoje, ot jak na ten przykład, tego małego chłopczyka naszej biednej sąsiadki, i posyłać go do szkoły, a z czasem, gdyby się na coś wyuczył, byłby naszą pociechą.

— A to prawda — odrzeknie bogacz — mógłby zostać nawet i księdzem, toby przynajmniej o naszej duszy pamiętał.

— Przystajesz więc na to? — zawołała uradowana kobiecina całując starego w łysinę.

— Z największą ochotą — rzecze bogacz — bo i ja to już sam uważałem, że nasze życie przemija jakoś nie składnie, i daremnie przemyśliwałem nie wiedząc jakby to temu zaradzić.

I w ten sens mówili dalej, a po rozmowie postanowili oboje małżonkowie zaraz na drugi dzień udać się do biednych wyrobników, i prosić ich, aby im oddali małego syna, którego oni będą na własny koszt posyłać do szkoły.

Jak rzekli tak zrobili.

Biedni wyrobnicy aż osłupieli z wielkiego podziwu, gdy obaczyli w chacie swojej bogaczów, a gdy ci się wymówili, w jakim przyszli interesie, to wyrobnicy nie tylko że się nie ociągali, ale nawet całując ręce swych dobrodziejów, z największą radością oddali im chłopczynę w opiekę. Bo rodzice nie mając żadnego gospodarstwa, nie mogli dać chłopcu żadnego zatrudnienia, toż mógł się on bez czujnego dozoru łatwo popsuć między rozpustnymi rówieśnikami. Więc uszczęśliwiona młoda bogaczka wzięła zaraz chłopca do siebie, przebrała go pięknie, a po żniwach odwieźli go oboje bogacze do blizkiego miasteczka, i zapłacili za niego stancję u samego pana nauczyciela.

Chłopiec uczył się bardzo dobrze, a gdy na święta lub wakacje przyjechał do domu, to się wieś cała nie mogła nim nacieszyć. Po czterech latach, gdy już skończył szkoły niższe, odwieźli go bogacze do wielkiego miasta, aby tam chodził do szkół łacińskich. Więc już nie tak często mógł on odwiedzać swoją wieś rodzinną, ale gdy przyjechał na wakacje, to zawsze jak dawniej był z największem uszanowaniem dla swoich rodziców i dobrodziejów.

I tak minęło znowu lat ośm, w których nasz student ukończył szkoły łacińskie, a podczas tego czasu wiele się w naszej wsi odmieniło. Najsamprzód umarł stary bogacz, błogosławiąc swemu wychowankowi i żonie, zapisując jej cały swój majątek, wyjąwszy tylko część małą, którą ofiarował na

kościół. W rok później zeszedł także z tego świata biedny wyrobnik, nie zostawiwszy nic po sobie, jeno poczciwe imię. Ale pan Bóg dobrotliwy, który się najmniejszym robaczkiem opiekuje, nie dał i biednej wdowie zaginąć. Bo owdowiała bogaczka, która od swej dziwnej zamiany zrobiła się wielką przyjaciółką biednej wyrobnicy, wzięła ją i córkę do siebie, gdyż i tak chałupa ich już się mocno pochyliła, i niepodobna było dalej w niej przemieszkiwać. Obie wdowy mieszkały teraz razem, dozierając obszernego gospodarstwa, a córka wyrobnicy, zaczynająca rok ośmnasty, śliczna i rosła jak łania, dopomagała im we wszystkiem. I odtąd odmieniło się wszystko w domu bogacza: wrota stały otworem dla każdego, a serca przychylne świadczyły dobrze, gdzie tylko mogły. I wszyscy ludzie szanowali i kochali obie te kobiety jakoby matki rodzone.

Tymczasem o młodą dziewuchę, z czarnym włosem, z czarnem okiem i cudnej urody, a przytem zwinną i rozgarnioną, bo jeszcze w domu biednej matki nawykłą do pracy, dobijali się przeróżni kawalerowie. I między tymi wszystkimi upatrzyły obie kobiety najwalniejszego parobczaka, syna wójtowego, a gdy poznały że i dziewucha najmilej na niego spogląda, zaręczyli wnet młodą parę ze sobą. W same żniwa i nasz student syn biednej wyrobnicy, skończywszy szkoły łacińskie, przyjechał do domu na wakacje, i bardzo się ucieszył, że siostra jego była już zaręczoną.

Po żniwach więc odbyło się wesele młodej pary, które było tak huczne, że i najstarsi ludzie we wsi takiego nie pamiętali. Zięć osiadł przy żonie, prowadząc całe gospodarstwo, którego obie kobiety dobrze doglądnąć nie mogły, a syn wyrobnicy pojechał teraz do tych szkół najwyższych, gdzie to już uczą i przygotowują do stanu księżego. I wszyscy byli szczęśliwi, oczekując tylko niecierpliwie tej chwili, aby się syn wyrobnicy wyświęcił na księdza. Po czterech latach nadeszła wreszcie ta upragniona chwila, a wyświęcony ksiądz przyjechał do swojej wsi rodzinnej, aby w niej pierwszą swoją mszę odprawić.

Co to była za radość, gdy obie kobiety ujrzały swego młodego księdza przy ołtarzu! Cała wieś zeszła się do kościoła,

a gdy im młody ksiądz po mszy uściskał głowy, to każdemu aż łzy stanęły w oczach od wielkiego rozczulenia.

Szczęśliwy przypadek nadarzył, że miejscowego księdza przenieśli gdzieś do miasta, a nasz ksiądz dostał się na parafię do swojej wsi rodzinnej. W jesieni jakoś sprowadził się na plebanię, a w pierwszą niedzielę powiedział zaraz prześliczne kazanie, które sobie ludzie mocno do serc wzięli.

Mówił on, jak to największem jest szczęściem człowieka przestawać na swojem, jak to bogacze powinni używać swego majątku, żyjąc ze wszystkimi w miłości bratniej, jakby z jedną wielką rodziną, i świadcząc miłosierne uczynki dla dobra bliźnich i pomyślności kraju, a tem samem skarbiąc sobie łaski u ludzi, a u Boga zasługi na żywot wieczny.

A na poparcie mowy swojej, przytoczył jeszcze następujące słowa z pisma św:

„Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi — mówi Mateusz święty — które rdza i mól psują, i które złodzieje wykopują, ale gromadźcie sobie skarby w niebie, które ani mól, ani rdza nie psują, ani złodzieje nie wykopują; gdzie bowiem skarb twój, tam i serce twoje.“ A Paweł święty mówi: „Bogaczom tego świata rozkazuję, aby nie byli wyniosłymi, aby niepewnym bogactwom zbytecznie nie ufali, lecz aby się w dobre uczynki stali bogatymi, i chętnie z dostatku swego drugim udzielali. Oto jest wielki zysk w bogobojnem przestawaniu na swojem, albowiem nic na ten świat nie przynieśliśmy, i nic też nie wyniesiemy.“

W kilka lat pomarły obie kobiety, na córkę wyrobnicy spadł cały majątek po bogaczce, i młodzi małżonkowie używali swych dostatków według owych słów pisma świętego. Młody ksiądz odwiedzał co dnia swoją siostrę i szwagra i dawał im różne rady i nauki, i co roku odprawiał osobne msze za dusze swych rodziców i dobrodziejów.

Nie mogę wam moi bracia inaczej tej opowieści zakończyć, jak powtarzając słowa jednego mądrego polskiego kapłana i biskupa, które niedawno temu w jego księgach wyczytałem:

Bądź więcej niźli sławnym, więcej niż bogatym,
Bądź więcej niż szczęśliwym — a cóż przyjdzie za tem?
Oto, iżbyś przesadził, i nie był szczęśliwym;
Miej co masz, a miej kontent, to szczęściem prawdziwem.

Oby te nauki zostały nie tylko na papierze, ale i w sercach waszych, tego wam życzy wasz brat,

Jacenty z Magierowa.

Wydawca odpowiedzialny za redakcję: E. Winiarz.